

o szpiegostwo przez takiego nędznika, wzbudziło mnie do ostateczności. Pohamowałem się jednak. Kochałem Nietę. Co znaczyć mogła dla mnie obraz miłości własnej, gdy chodziło o uwolnienie mojej jasnej Niety, prawda, że z przepychu, ale i z hańby. Zebrałem całą swą dobrą wolę i znalazłem w sobie nad sobą i tyle grzeczności, iż mogłem odpowiedzieć, nie zdradzając swych istotnych myśli.

Zastanawiałem się nieraz potem, czy hrabia, uważając mnie za współnika X 323, nie zamierzał dotrzeć w ten sposób aż do niego samego, o ile tylko nie przypuszczał, że ja jestem tym nieuchwytnym X 323, którego istotnej postaci ani on nikt inny nie znał. Tymczasem hrabia zwrócił się do Niety:

— Czy chcesz mnie wziąć pod rękę, drogie dziecko, by wrócić do domu... Pracowałem dzisiaj wiele, głowa też mnie ciąży, czuję jakby migrenę, zdaje mi się jednak, że mały spacer z tobą dobrze na mnie wpłynie.

Wzięła pod rękę swego ojca, a obrzucając mnie tęsknem spojrzeniem, wyciągnęła ku mnie dłoń. Uściśnięła ją czule.

Pan Holsbein patrzył na nas z lekkim szyderczym grymasem na ustach.

— Pan bardzo kocha Nietę — rzekł — podając mi rękę.

— Oświadczając się, oddałem swe życie i to była najszcześniejsza chwila, jaką kiedykolwiek miałem.

Uśmiechnął się znowu, a oczy mu zabłyśły szatańską złośliwością, odpowiedział jednak ojcowiskim tonem:

— Jeżeli istotnie jest to prawda, łatwo możemy się porozumieć. Muszę jednak pana uprzedzić... Jeżeli Niete byłaby nieszczęśliwą, zabiłbym pana bez żadnego skrupułu.

Nie dał mi czasu, bym coś odrzekł.

— Prawda, ojcowie są straszeni?... Ale narzeczeni są wyrozumiali. Gdy są zakochani, pojmują, że i ojcowie kochają na swój sposób.

Pociągnął za sobą Nietę, a patrzyłem w ślad za temi dwoma postaciami, złączonemi więzłami krwi, które miałem jednak rozłączyć, by jedna z nich nie umarła z hańby drugiej.

## VI.

### KU STUDNI.

Teraz ubieram się w specjalny strój na nocną wycieczkę. Strój ten jest zresztą bardzo prosty. W listopadzie noce madryckie bywają chłodne, ciepła więc zarzutka szarego koloru będzie bardzo odpowiednia. Do niej do kieszeni włożyłem rewolwer Halsmith, nogi obułem w trzewiki tenisowe, by nie wydawać, idąc, żadnego hałasu, na głowę włożyłem miękką czapkę i byłem już gotów. Zostawiłem w pokoju lampkę elektryczną, która, chociaż nie większą jest od zwykłej tabakierki, byłaby jednak zbyt cicha; winienem widzieć, a nie być widzianym. Na czatach zaś najłatwiej zdradzić się można takim nikłym światłem. Nie zapomniałem natomiast swej legitymacji dziennikarskiej z *Timesa*; zabrałem również i karty wizytowe, a także depezę, otrzymaną rano w hotelu, aby na wszelki wypadek mógł stwierdzić swą identyczność.

Na chwilę zatrzymałem się, oglądając się w koło, czy czego nie zapomniałem, potem odpowiedziałem sobie z zadowoleniem: nie i powoli zszedłem po schodach do vestibulu. Było trzy kwadranse na siódmą. Lampy na ulicach są już od dłuższego czasu zaświecone. Jeszcze wcześniej; lepiej jednak dłużej poczekać, niż się spóźnić. Gdy się nie wie, o której godzinie dana osoba przyjdzie na rendez-vous, najpewniejszym środkiem spotkania jej jest przyjść tam daleko wcześniej, niż ona mogłaby się tam udać.

Przez *Calle Mayor* skierowałem się ku dzielnicy Armerji. O tej porze przechodniów jest mało, gdyż cały Madryt siedzi za stołem, zbierając siły na rozmaite muzykalno-wokalne wieczory, których odgłosy rozlegają się późno w noc. Z tej ulicy przeszedłem na wąskie, ciasne zaułki, którymi miałem dojść do oberży Kamoensa. Wreszcie dotarłem i do niej! Jest to brudny, cuchnący barak z poopa danym tynkiem, przez które widać ściany złożone z wielkich kamieni, polepionych gliną. Przez zakopcone i pokryte stoletnim chybą kurzem szyby, dobiegało się czerwone światło, które zamiast jasności, rzucało raczej cienie. Istotnie, oberża ta jest

tak zanieczyszczona, iż można jej przyznać doskonałość w tym względzie... Goście muszą zapewne odpowiadać jej zewnętrznemu wyglądowi, instynktownie też chwyciłem ręką w kieszeni rewolwer. Sześć nałożonych naboju dodało mi odwagi.

Po przez szyby chcę przekonać się jak wygląda wnętrze. Mimo zatłuszczonej płachty zakrywającej okno, dojrzałem rozstawione stoły, na wprost zaś drzwi od ulicy inne drzwi, prowadzące zapewne na podwórze. Przy nich jednak znajdował się wielki kontuar, za którym królował jakiś szeroki, kwadratowy prawie mężczyzna o czarnej skórze, czarnych oczach i czarnej brodzie, zapewne dyrektor tej spekulki. Trzeba było przechodzić koło niego. Czy pozwoli on na swobodne przejście przez swój zakład jegomościowi, bardzo różniącemu się od jego zwykłej klienteli? Nie wielka to troska! tak w Madrycie jak i w Londynie jest jednakowy sposób na podobnych osobników.

Śmiało wzięłem za oślizgłą z brudu rączkę drzwi i wszedłem. Wszyscy goście podskoczyli ze swych miejsc. Pewny jestem, że każdemu przyszła na myśl



Skierował się powoli ku nam z namarszczonemi brwiami.

policja; uspokojeni jednak mym wyglądem, powrócili do swych szklanek. Nie mam widocznie wyglądu rycerza ze straży bezpieczeństwa. Spokojnie skierowałem się do drzwi, przez które według domysłu, mogłem wyjść na podwórze. Podchodząc do gospodarza, który rzucał na mnie podejrzliwe spojrzenia, położyłem przed nim ze szlachetnym gestem dwie monety frankowe i dodałem szeptem to wyjaśnienie:

— Po jednej na każde oko.

Skrzywił się na znak uśmiechu, skłonił się i zgrabnie zsunął do ręki pieniądze. Znalazłem się po za główną salą w rodzaju jakiejś kuchni, zupełnie jednak pustej i ciemnej; przed sobą miałem jakieś wyjście, stosunkowo wyraźne mimo już zapadłej nocy.

Wreszcie wydostałem się na podwórze. Pod nogami czułem błoto, dokoła zaś odór zgnilizny i stęchlizny. Mimo to dotarłem zwolna do muru, zarosłego gestami zarostami, o którym wspominała mi cyganka. Po pewnej chwili, gdy oczy me przyzwyczaiły się już do ciemności, wydało mi się, że w tej roślinnej ścianie dostrzegam jakąś wyrwę. Rzeczywiście było tam przejście, a raczej dziura, przez którą prześlizgiwały się prawdopodobnie psy i koty. Zanim wcisnąłem się tam, rzuciłem sporzenie poza siebie i zakląłem ze złością.

W rogu między barakiem a murem, ogradzającym podwórze równoległe do ulicy, dojrzałem wąskie przejście, które bez wątpienia służyło obeznanym ze Studnią Maurytańską, a nie chcącym narażać się na ciekawość bliźnich. Tędy z pewnością dostawali się do tego zapadłego kąta madryckiego i hrabia Holsbein i X 323.

Jak każdy człowiek, nie lubię przyznawać się do błędów, rzekłem też sobie z lekceważeniem:

— Eh! nie ma to żadnego znaczenia.

I by nie dopuścić żadnych wyrzutów, zapuściłem się w swoją drogę, uderzając się jednak ciągle o gałęzie, o których bujności przekonałem się za późno. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że powracam znowu na podwórze oberży, gdyż zajaśniało przede mną jakby małe, zamglone światło. Na szczęście myliłem się. Dostałem się na koniec na wolniejsze miejsce, jakby polanko, po środku której widać było małe podmurowanie.

— Ocembrowanie Studni Maurytańskiej, szepnąłem do siebie z radością, którą każdy reporter zrozumie.

Główne zadowolenie, jakie w chwili tej odczuwałem, pochodziło tylko z przewyciężenia trudności, gdyż sama studnia nie przedstawiała nic osobliwego. Pochylając się nad ocembrowaniem, zobaczyłem na jakie dziesięć metrów w dole lśniąca wodę, a więc na najzwyklejszej odległości... Zamiast coś szczególnego, oglądać tylko mogłem na wewnętrznej ścianie znajdujące się na jednakowej od siebie odległości żelazne klamry, po których robotnicy spuszczały się na dół dla reperacji. Byłem trochę zniechęcony tym zawodem, gdyż zamiast tajemniczości natrafiłem na banalność. Przypomnieli mi się jednak zaraz X 323 i hrabia Holsbein, którzy winni się tu spotkać razem, aby zaś uniknąć zbyt cichych wyjaśnień, postanowiłem ukryć się.

Cofnąłem się ku zarostom, tak iż zostałem zupełnie osłonięty gałęziami; było to jak najlepsze schowanie, tę tylko miało ono niedogodność, iż liście łaskotały mnie po twarzy. Jak długo trwało me wyczekiwanie? Nie mogę teraz tego określić, przypominam sobie tylko, że gdy w pewnej chwili podniosłem głowę do góry i ujrzałem wprost nad sobą świecącą się gwiazdkę, pomyślałem, że może ona przyciągnęła ku sobie i niebieskie oczy mej Niety i że wzrok nasz może łączyć się tam w przestworzu.

Z powodu chłodu, jaki mnie tam zaczął przenikać, zastanowiłem się nawet, czy dobrze robię, przedłużając swój postój i nie wiem, do jakiego doszedłbym wyniku, gdyby nagły szelst liści nie obudził mej czujności. Ktoś szedł między gałęziami. Ani przez moment jeden nie wątpiłem, że to musi być któryś z championów wszechświatowego pojedynku, którego miałem zostać historyografem. Lecz który? Czy X 323 stara się zejść z nienacka hrabiego, czy też hrabiemu udało się

zwieść X 323.

Nieświadomość ma była poddana nie długiej próbie. Na skraju ścieżki, przez którą sam szedłem poprzednio, ukazała się ludzka postać. Na widok jej stłumiłem w sobie kłątwe. Przed oczami swymi miałem hrabiego Holsbeina-Litzberga. Bez najmniejszego wahania zbliżył się do studni. Nie przypuszczał nawet, by mógł go kto śledzić, gdyż nie zachował żadnej ostrożności. Nic więc go nie niepokoiło, gdyż udawał się tutaj z Casa Avreda.

Lecz cóż w takim razie czynił X 323? Czy jaki wypadek obezwładnił go? Było to możliwe, bo jak inaczej wytłumaczyć jego nieobecność? Jakie szczęście, że ja byłem tutaj, by go zastąpić. Potarłem radośnie rękami, zadowolony, że dzięki swemu uporowi będę miał taką rolę do spełnienia. Przewidywałem, że walka moja z hrabią Holsbeinem może mieć fatalne następstwa dla mego małżeństwa, lecz gdy człowiek przystępuje do działania tak ważnego, zapomina o wszystkich innych rzeczach. Ponadto cała moja uwaga była skupiona na ruchy i czynu hrabiego. Pochylił się nad ocembrowaniem i wydał jakiś głos, jakby się śmiał. Ta pewność siebie i spokój jego zadziwiły mnie jeszcze bardziej, gdy usłyszałem, że coś do siebie mówi. Istotnie nie podejrzewał on tutaj niczyjej obecności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)